Lwów, 5. Lipca. Nr 79. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. 3 Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięczna **40** kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. **1** Zł. **20** kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr.. za na stęp- po **1** ½ kr. i zadopłate 10 kr. stepl. zakażdorazowe umieszczenie.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

UCZONY.

Obrazek fantastyczny,

przez

Jana Zachariasiewicza.

VIII.

LEKCYA POEZYI.

(Ciąg dalszy.)

Gdyby on był wzrósł w takich wrażeniach, gdyby społeczeństwo było go przyjęło w swoje grono, i pozwoliło mu napawać pragnącą duszę widokiem pięknej swojej strony, wielkiej duszy młodzieniec wzrósłby w wiedzę i talenta dodatnie, widziałby dobre dobrem, a złe i nieuczciwe wziąłby jako złe i nieuczciwe. Ale społeczeństwo wyrzuciło go z siebie, jak krew wyrzuca trąd nieczysty, a wyrzucony raz bolał i raził ciało ludzkości. Widział tylko ciemną społeczeństwa stronę, a gdy myślał, że dla niego pracuje, uzbrajał on się w istocie tą pracą tylko w broń straszliwą, którą niegdyś miał ugodzić w jego serce egoistyczne. Każda myśl, którą teraz skwapliwie zbierał po zapylonych księgach, miała się w swoim czasie przetworzyć w robaka, i roztoczyć to, co przed chwilą było zdrowem i czerstwem.

Poeta stał obok swojej nauczycielki, i dziwnie jakoś podobała mu się taka nauka prozodii.

Nie mile z tego zachwycenia obudziła go dziewczyna.

— Rozumiesz pan te tony, te akordy, te melodje, zapytała go, zmieniając szybko i tony i akordy i melodje, pojmujesz pan te przechody z *dur* do *moll?.. Scherzo* to jest wesoła starożytnych satyra i rozpustna ironia, a te akordy, które zdają się wstrząsać sklepieniem niebios... to modlitwa Mojżesza... A słyszałeś pan requiem Mozarta?... gdzie każda nuta troistej jest natury, bo każda płacze za ziemią, w każdej jest spokój zagrobowy, i w każdej przebija się przeczucie przyszłej szczęśliwości... Idź-że, pan idź ze swoją poezją uczoną, jeźli pan nie pojmujesz sercem tego, co zachwyca nawet wtedy gdy boli!..

Ustała w grze i zamyśliła się, a widząc, że literat stoi nieruchomy i milczy jak najuczeńsza książka bez lektora, przemówiła doń, zakładając na krzyż drobne swoje rączęta. W takiej pozycyi, z tak młodocianną twarzyczką wyglądała zachwycająco.

— Zrozumiałeś pan grę moją? Wyrażała ona dramat a może mój własny!..

— Oh!.. wykrzyknął literat, i na tym wykrzykniku poprzestał.

— Pan jesteś zapewne zmęczony, pójdź i usiądź.. tu przy mnie. Będzie to druga lekcja, dodała figlarnie przechodząc do pustoty.

Po tem zawezwaniu nastąpił jakiś wykrzyknik niezrozumiały i akt, który w sposób nader przyzwoity spełnił rozkaz młodej nauczycielki. Mając na pamięci altaukę chmielową, rozmierzył rozważnie literat przestrzeń, któraby wszelkiej przyzwoitości odpowiedzieć mogła. Julia uśmiechnęła się.

— Kochałeś pan kiedy w życiu?.. zagądnęła z nienacka.

— Oh!... wykrzyknął znowu literat, i potarł całą dłonią po czarnej czuprynie, aż iskry z niej wyleciały.

Druga lekcja już mu dojmowała do żywego, już poczęło mu się robić jakoś markotno i smutno, jak najsmutniejsza elegia.

Gdyby Julia była go się zapytała listownie o podobny przedmiot, literat nasz nagryzmoliłby gruby poszyt w odpowiedź i jeszcze by na końcu powiedział: że tematu nie wyczerpał dostatecznie. Ale słyszeć to zapytanie z ust pięknej jak anioł dziewczyny, która płomienistem, czarnem okiem po odpowiedź do ust i oczu poziera, to nielada zapytanie, godne najbieglejszego improwizatora.

Mówić bez namysłu i serca, co u niego jedno i to samo znaczyło, toby musiał improwizować, a w tej sztuce nigdy nie ćwiczył się nasz uczony. Więc wolał milczeć, i też najsłuszniej milczał. Bo i na cóż przydałaby mu się spowiedź szczera, przy której by i altankę fatalną wspomnąć potrzeba?..

Nauczycielka wzięła się na sposób, i poruszyła inną stronę. Widać, że jej wiele zależało na tem wyznaniu.

— Jakież ze mnie dziecko zawołała z uśmiechem, pytać się, czy kiedy kochał uczony!.. Czyż może on kiedy zrozumieć co to jest kobieta, i jakiej mowy potrzebuje, aby mogła pojąć i zrozumieć? U was kobieta jest to książka, którą bierzecie do rąk, w tem uprzedzeniu, aby jej treść zbadać analitycznie i ułożyć uczoną recenzją tego

boskiego dzieła, które wszakże nigdy was nie zadowoli, nigdy nie zachwyci do samej pochwały, bo wszędzie przy stronie jasnej szukacie strony ciemnej, i unosicie się dumą gdy ją znajdziecie. To też nie daremnie zawiązywali starzy oczy temu mitologicznemu chłopięciu, a wy chcecie się zachwycać przy wzroku otwartym, zimnym, analizując w atomy każde wrażenie, i widząc wszędzie brak waszych w głowie wymarzonych ideałów!.. O nie, miłość to dla uczonych wielka, arcymisternie ułożona fraszka, którą się bawią profani... bawią się młode niedoświadczone dziewczątka, póki czas im oczu nie otworzy!..

Julia mówiła w dziwnem natchnieniu, a słowa, które jak rączy strumień wypływały z jej ust różowych, tak pięknie wiązały się w zdania, nawet jej wiek przechodzące, i z takim były wygłoszone zapałem, że nie tylko sam jurysta, ale każdy inny uczony zastanowiłby się mocno nad tem, zkąd młodej dziewczynie mogły przyjść do głowy te zdania i ten sposób mówienia.

Wszystko to jednak wytłómaczy nam jedno słowo: Julia była genialną. A kto kiedykolwiek poznał kobietę wyższych zdolności, tego nie zdziwi nagły jej postęp w kształceniu umysłu i serca, a w chwilach gorących jej mowa, pełna podniosłej, rodzinnej poezyi.

Nikt nie zdoła tak łatwym sposobem tworzyć ogólników i sentencyi, z jednej ułamkowej myśli odtworzyć i wysnuć całość, rzucać pociskiem dowcipu i ironii i leczyć zadane rany nagłą odmianą gry w *moll* z towarzyszeniem anielskiego uśmiechu, jak to wszystko uczynić może genialna kobieta w chwilach, w których żyje pełnią swego życia.

Uczony więc poeta mimo nagromadzonych w głowie bogactw nauki i myśli starannie obrobionych, nie mógł zdążyć za polotem improwizującej nauczycielki, której sama postać najlepszą była dlań nauką poezyi prawdziwej. Na koniec zebrało się jakoś na lot uczonemu poecie, i z należytem przygotowaniem rozwinął jak struś olbrzymie swoje skrzydła, i począł niemi bić o ziemię, w najsłodszem marzeniu, że wzleciał w niebiosa! Mimo tak olbrzymich piór i dość zręcznego zamachu nie oddalił się ani na włos od ziemi, bo ciało jego było za ciężkie, bo go do ziemi gniotły formy i zwroty wyuczone, pomimo że go natchnienie rwało do góry. Dziewczyna słyszała szum skrzydeł i skrzypienie piór olbrzymich, ale wzlotu poety nie widziała.

W tym to bowiem czasie rozpoczął był jurysta bardzo długą replikę na pozew uczonych, a chociaż w niej wiele mignęło iskier prawdziwego natchnienia, przygaszała je jednak właściwa ociężałość i zwroty mowy aczkolwiek przed wiekiem dobre i ozdobne, dzisiaj jednak zużyte i niezrozumiałe. W całej jednak tej replice był już widoczny postęp, a gdy poeta po wyczerpaniu ogólnej sentencyi przeszedł był na siebie, i przed nią swe wnętrze jak mógł najprzyzwoiciej odsłonił, nauczycielka poznała z niemałem zadowoleniem, że jej nauka w las nie poszła. Niektóre nawet epizody z jego opowiadania tak ją mocno zajęły, że zapomniała utrzymać się w oznakach sympatyi przy należytej przyzwoitości, i spojrzała nań okiem tak wymownem, do takiego melancholijnego uśmiechu złożyły się jej piękne usta, że biedny literat w istocie od ziemi odleciał, choć może na to tylko, aby tem niezgrabniej upadł na ziemię.

—Zakończmy więc lekcją, rzekła po chwili milczenia, po każdej lekcji następuje zadanie, a z tego poznam, czyś pan co skorzystał; słuchaj pan tej melodyi.

Tutaj poczęła pianissimo od akordów w *moll,* a przechodząc ich pokrewne odcienia weszła na piękną melancholijną melodją ludu ruskiego. Powtórzywszy kilka razy, zapytała się poety czy ją rozumie.

— O jakże bym jej nie rozumiał, wszak ją wyssałem z mlekiem mej matki!

— Więc na tę melodją napiszesz mnie na drugą lekcją wiersze, a wtedy poznam, czyś pan i melodją i mnie zrozumiał.

Zdawało się Robertowi, że ostatnie słowa wymówiła z pewnym naciskiem.

Na tem zadaniu skonczyła się lekcja poezji, bo właśnie matka powróciła z kościoła.

Trudno odgadnąć, kto podczas tej dziwacznej nauki więcej się nauczył, i kto właściwie był nauczającym, a kto słuchaczem. Stojącemu na uboczy przyszłoby do głowy zapytanie, czy w istocie młoda dziewczyna chciała poetę nauczyć czuć i pisać, jak się czuje i pisze pod wrażeniem rzeczywistości, czy też chciała się sama od niego nauczyć, jakim sposobem zawiązują się zwykle romanse.

Zgodzimy się na pierwsze zapytanie, ale na drugie nie przystaniemy. Powiemy więc sumiennie, że dziwaczna ta nauka poezyi miała ze strony Julii czyste i niewinne powody, jak też i jej stosunek do biednego młodzieńca był o tyle niewinnym i przyzwoitym, o ile był serdecznym, szczerym i przyjacielskim. Żaden z jej znajomych nie wywarł na nią takiego tajemniczego wpływu, to też nie zbliżyła się do nikogo w ten sposób, jak do biednego poety. Zbliżywszy się raz, nie zważała często na światowe reguły przyzwoitości, a w młodzieńcu który przed nią swą duszę otworzył, widziała niby przyjaciółkę, którą kocha jak siostrę, i z którą się bawi szczerze i serdecznie. Raz zawiązana poufałość utrwaliła to *bezprawie* w obec natury, a oddana całą duszą naukom, prócz tej dziwacznej przyjaźni nie czuła Julia w swem sercu na dzisiaj żadnego innego pragnienia. To też tem dziwniej zdawało się światu, że młoda i gorącej wyobraźni dziewczyna pogardzała wszelkiemi względami, z jakiej bądź one pochodziły strony, i była tem dowcipniejszą, im sentymentalniej do niej przemawiano.

A jak wypadło to jej zadanie poezyi, czy uczony poeta podołał ją z jej melodją zrozumieć, o tem moglibyśmy bardzo wiele napisać i jeszcze nieskończyć. Poecie bo

wiem zdawało się, że nietylko ją ale i melodją doskonale pojął i zrozumiał, a chociaż i Julii coś podobnego się zdawało, gdy podaną pieśń odczytywała, było w tem jednak wielkie obopólne złudzenie.

Julia bowiem stanąwszy raz u granicy serdecznej i poufałej przyjaźni, utrzymywała się w niej z przyzwoitością i powagą, gdy tymczasem biedny poeta niezrozumiawszy tego stotunku, postępował szybko w swoich urojeniach, aż razu jednego na stopniach ołtarza zakończył.

W kilka miesięcy po owej lekcyi poezyi, i po wielu innych podobnych zajściach, przy których skutecznym talizmanem było biednemu juryście wspomnienie altanki chmielowej, zdarzyło się, że będąc prawie sam na sam z młodzieńcem, poczęła mu się zwierzać Julia ze swoich przygód towarzyskich. Opowiedziała mu przytem, jak o nią się stara pan Stanisław, najbogatszy w stolicy kawaler, jak do niej wzdycha pan Karol, znakomitej rodziny potomek, jak jak jakiś z za kordonu przybyły młody, pełen gracyi obywatel obsypuje ją względami swemi i jak ona tym wszystkim najpospolitsze daje odkosze, dodając do tego z zasłyszanej od matki nauki, że tylko temu może oddać swoje serce i swój półmilion, który pracą i zasługą osobistą dowiedzie jej, że pojął stanowisko obywatela kraju, i pożytecznego członka społeczeństwa.

Jakkolwiek w takich chwilach więcej przemawiał z niej aforyzmami nauki ozdobiony rozumek, niżeli prawdziwe jej przekonanie, poeta jednak wierzył w jej słowa, i wyciągnął z nich najdziwniejsze dla siebie znaczenie. Otóż to poufałe zwierzenie się było skutkiem, że w licznych tych odkoszach nie widział Robert innego powodu, jak to, że Julia go kocha, że w nim upatruje owego człowieka pracy i zasługi osobistej, ... a jeźli on ze swojej strony dotąd okazywał się tyle wstrzemięźliwym, że jej prawdziwych swych uczuć jeszcze nie był wyjawił, widział w tym nie tylko przyzwoitość, ale oraz i tę taktykę, że w chwili stosownej może jej swojem wyznaniem uczynić niepospolitą niespodziankę. Chwilą tą stosowną był uzyskany stopień *doktora*, albo tak wielce powabne *stallum agendi*, które w dalekiej perspektywie nęciło go urokiem pozycyi, na której mu teraz zbywało, i bogatym trzosem Mamona, który miał być owym złocistym mostem do wyobrazicielki najczystszej, platońskiej miłości, czyli jak świat chciał i mówił — wyobrazicielki pół miliona!...

To też marzył i marzył biedny jurysta to o swoim doktoracie, to o *stallum agendi*, to o pierścieniach ślubnych, to znowu wynajdywał i łamał przeszkody w gorącej swojej wyobraźni, to bolał i wzdychał, skarżył się swemu siwemu przyjacielowi a na pociechę w strapieniu sięgał nawet czasem do poszytu: *excerpta antiquorum scriptorum*!— Lecz u tych znajdywał z każdym dniem mniej pociechy i ukojenia, a natomiast począł lubować w Bajronie, w Murze, Szylerze, Getem, a nawet w Ossianie, który pod ówczas zajmował czytających, znajdywał nowe skarby poezyi. *Childe Charalda* naśladował większym poematem, a kochającego fantazyą *Petrarki* odstąpił zupełnie. *Owid* stracił także w nim zapalczywego admiratora a natomiast studjował głośnych wtedy pierwszych poetów z epoki romantycznej. Nawet mniejszy już czuł wstręt do społeczeństwa i kupiącej się w koło niego młodzieży rad się udzielał. Wszystko było skutkiem tego nowego stosunku i wpływu, jaki nań wywierała wymarzona jego kochanka.

I tak minął rok cały. —

IX.

DWIE DROGI.

Już dobry zmrok zapadał w ulicach starej naszej stolicy nadwiślańskiej, a gwary dzienne milkły co raz więcej. Drogą od mostu spieszył ku ulicy senatorskiej niski w szarej kapocie jegomość, i chciwem uchem strzygł co chwila ku stronie, zkąd niedawno usłyszał głos zegaru. Wreszcie stanął u celu. Spojrzał w oświecone okno pierwszego piątra, a światło latarni ulicznej oświeciło w tej chwili jego twarz, dziwnie uradowaną. Zdawało się że światło tego okna było dla niego światłem spełnionych nadziei!

Zatrzymał się jeszcze chwilę na ulicy, przeszedł się tam i nazad, nie spuszczając jednak oka z oświeconych okien, i zwolna, krokiem pewnym i wymierzonym wszedł w ciemną paszczę starożytnej kamienicy.

Musi on odwidzać dobrych znajomych, bo zaraz w przedpokoju uśmiechnął się do lokaja, coś mu do ręki wcisnął, i bez wszelkich ogródek odezwał się:

— Przychodzę dobrze panie Jakubie?

— Niewiem panie, odpowiedział tenże, ale rozkaz wypełniłem to co do joty.

— O wiele?... pięć, dziesięć minut?

— O całą półgodzinę cofnąłem. Pomyślałem sobie! lepiej więcej niżeli mniej.

Jegomość w starej kapocie ścisnął z zapałem rękę starego sługi, i kazał się panu zaanonsować.

— «Pan Szostakiewicz,» — zawołał lokaj, zostawiając za sobą drzwi rozwarte, a nim zdumiony pan jego mógł się na jaką odpowiedź zdecydować, już stał przed nim jegomość w szarej kapocie, kłaniał się głową, nogami i rękami, krząkał i przepraszał póty, póki potrzebnej rozwagi nie znalazł.

— *Cent milles diables* — krzyknął z polska po francusku mieszkaniec pierwszego piątra; wszak mówiłem panu Szos-ta-kie-wi-czo-wi, że dopiero o dziewiątej będę w domu.... to jest, to jest, będę na jego usługi.... a teraz dopiero.... jest pół do dziewiątej!

Tu dobył gospodarz z kieszeni złoty zegarek, pocis-

nał gwałtownie za uszko, a słabe wieko odbijało z jękiem do góry.

— Patrzaj Aść, panie Szostakiewicz — więcej niż pół godziny...... to jest niegrzeczność, natrętność.... mam ważny interes..... dostałem sztafetę....

Jegomość w szarej kapocie, alias pan Szostakiewicz, słuchał cierpliwie rozgniewanego gospodarza, a daleki obrażenia się, uśmiechał się słodziutko swemi ukośnemi oczami, w których paliło się jakieś serdeczne, tajemne zadowolenie.

Stał chwilę w milczeniu, bez odpowiedzi, zdawało się, że coś liczył, lub czegoś wyczekiwał. Wreszcie zbliżył się do okna, odchylił jedwabną zasłonę, i podniesionym w górę palcem nakazał gospodarzowi milczenie.

W tej chwili odezwał się dzwon z wieży, i uderzył dziewięć razy.

Gospodarz zacisnął ze złością złote wieko zegarka, aż się zgięło, nie mogąc pojąć, jakim sposobem ten jedyny stały, jego przyjaciel poważył się dzisiaj robić mu taki zawód i oddać go żywcem w ręce nieubłaganego zwierzęcia. —

A takim to strasznym wierzycielem był jegomość w szarej kapocie. W zanadrzu blisko serca trzymał on cyrograf podpisany na okrągłą sumkę.

Nieprzyjemną była jego wizyta panu Idziemu (tak nazwiemy gospodarza) który właśnie w tej chwili wybierał się na wieczorek karciany, i tylko przez podstęp wpadł w łapkę.

Po chwili natchnienia uznał pan Idzi wszelki gniew za niestosowny w obec takiego nieprzyjaciela, jakim był pan Szostakiewicz. Usiadł więc w obszernym fotelu, a całej sprawie chciał nadać barwę dramatyczną.

Widząc ten niespokój wierzyciel, poznał swoją wyższość, i z niemałem zadowolnieniem spuszczał zwolna ciężar swojej osoby pomiędzy poręcza najbliższego fotelu. Zaakceptował tę poufałość gospodarz lekkiem skinieniem głowy i czekał ataku. Zniecierpliwiony jednak rozpoczął sam dramat:

— Sprzysiągłeś się panie Szostakiewiczu na moje szczęście, chodzisz jak mara za mną dzień i noc, i odcinasz odemnie wszelki ratunek.

— Uchowaj Boże — przerwał lichwiarz — ja chodzę wprawdzie i czuwam nad panem dzień i noc, ale na to tylko, abyś pan siebie nie zgubił, a z sobą i moich stu tysięcy. (C. d. n.)

KRZYŻ I WIARA.

„Zrób węża miedziannego, a wystaw go na znak;
kto ukąszony na ten znak wejrzy, uzdrowion będzie.

Wszystko się cieszy dokoła mnie,
Wszystko się cieszy, tylko ja nie,
Tylko mej duszy uśmiech nie wzruszy,
Ust nie okrasi wesoły śmiech,
Bom ja tułaczem, co wiecznym płaczem
Skarany został za jakiś grzech!

Zaledwiem pierwszy powitał dzień,
Już los stał za mną, jak straszny cień,
J smutną gwiazdą nad moje gniazdo
Wzbił się i zawisł pośródku chmur,
I krzyż cierniowy nad memi głowy
Zawiesił niby na ciężki wzór.

Nieznając Boga jużem go czcił,
Wzniosłym miłościom już wieńcem wił,
I bez ustanku w życia poranku
Pytałem braci, gdzie chatka ma?
A skorom kogo zapytał z trwogą
Rzekł mi twą chatką, to wieczna łza.

Płakali; rzekł ktoś: nadziei nam,
A nie łez trzeba do rajskich bram.
O moi mili! łza w sercu kwili
I wzmacnia duszę, jak ogień stal,
I łez nam trzeba i łaski nieba,
Coby wodziła łódkę śród fal.

Gdy syn człowieczy cierpiał i drżał,
To modłę łzawą ku Bogu słał,
A rzekł: Twa wola, to moja dola!
I spełnił toast cierpień do dna,
A wąż miedziany uleczał rany,
To też cierpiącym i wiary trza.

Więc w krzyżu wielkim zbawienie me,
I duch po krzyżu w niebo się pnie,
I krzyż swym kwiatem niby bławatem
Uwieńczy chatki nieszczęsnej skroń,
A wtenczas dzwonie w zgrzybiałym tonie
Na uroczystą biesiadę dzwoń.

O Boże! tylko wiarę mi daj,
A ja na ziemi zaszczepię raj,
I z całej siły jękną mogiły,
Życiem uderzy martwy dziś płód,
A ja się cudem podzielę z ludem
I błogosławić będzie ci lud.

J. F.

JAK SIĘ U NAS ŻENIĄ.

Obrazek spółczesny.

I.

NA WĘGRACH.

(Ciąg dalszy)

Jechali wedle zwyczaju szlacheckiego rzemiennym dyszlem, wstępując do wszystkich wujaszków, stryjaszków i ciotuniów, na których, jak wiadomo, nie zbywa na naszej ziemi. Przy tej sposobności pękła nie jedna bardiówka z nie małym zyskiem fantazyi i odwagi, potrzebnych do wielkiej wyprawy.

W tydzień tedy stanęli przecież blisko celu, to jest o milę od upragnionego pieca, o milę jakbyśmy dziś powiedzieli, od Kalifornii.

Zanocowali w nędznej karczminie żydowskiej, i zrobili główny przegląd sił swoich do wyprawy wziętych, urządziwszy wedle wszelkich reguł kunsztu konkurenckiego oblężniczą baterją na skuteczne zdobycie reduty drelicharskiej, bronionej przez pannę Kasię, z górnego swego stanowiska za piecem. Poczyniono wszelkie stosowne dyspozycje z całym taktem konkurenckim. Konie dostali podwójną porcją owsa, a więcej jeszcze wody, dla wypełnienia zapadłych trochę boków; przytem rozumie się że mieli czwórkę i to misternie złożoną, bo siwego do lica pożyczył wujaszek, zwykły dyszlowy awansował na czwartlowego, a miejsce tak wakujące zajął z protekcyi fornala srokaty broniak. Najtyczanka, owa nieodstępna towarzyszka wiejskich wtenczas konkurów, z błota wymyta świeciła się jak nowa, a Jasiek, ów z czasów idyllicznych świniarczuk, wyszwarcował sobie porządnie buty i wąsy domowym fabrykatem, ze sadzy i piwa skomponowanym.

Siadając nazajutrz do bryczki, gdy oglądnął pan Felix wszytkie te przybory, uśmiechnął się, pewny zwycięztwa, jak Napoleon zażywając podczas bitwy tabakę, bo:

Gdy cesarz Napoleon w potyczce zażywa
Raz po raz, znak pewny, że bitwę wygrywa.—

Tabakę zastąpił pan Felix tym razem potężnym kieliszkiem śliwowicy, którą polubili obaj przyjaciele, aby o ile się można zastosować do węgierskich zwyczajów. Co tam zaś sobie przez drogę o drelicharce mówili? tego nie chcę powtarzać, ażeby nasze panny do reszty nie zniechęciły się iść za mąż!

Że byli pewni zwycięztwa, cóż dziwnego! bo czyliżto nie oczywiste szczęście dla drelicharki pójść za szlachcica, intabulowanego dziedzica, potomka pułkownika i hrabianki? Przytem pewni byli, że nie znajdą niebezpiecznych współzawodników, bo jużciż nie znajdzie się zaraz drugi szlachcic galicyjski, któryby zdobyć się potrafił na równie wielką, jak nasz bohater, odwagę cywilną!

Z takiemi myślami zajeżdżają w bramę dziedzińca. Franek podniósł się trochę na koźle, konie ściągnął, na licowego: k'sobie krzyknął, i dwa razy uczciwie z bata trzasnąwszy, osadził przed gankiem małego, lecz czysto pobielonego domku.

Wyskoczyli z bryczki. Pan Felix po raz setny powtarzał poprzednio uradzony koncept, którym miał się wyłgać przed ojcem, wkłamać w serce córki, i piecowy wykpić skarb. Są już w sieni; lecz którędy wejść, czy na prawo, czy na lewo? W tem usłyszał z jednej strony jakieś głosy, śmiechy, a zarazem zawąchał jakąś woń śniadaniową.

Wchodzi więc za niemylnym kompasem nosa, otwiera drzwi — i — nic najprzód nie widzi... Dym węgierskiego tytoniu w całej izbie rozległy, zasłania mu widok. Zatrzymuje się w progu, wszystko milczy... Chwila uroczystej ciszy... Na raz, jakby na komendę cała izba zagrzmiała śmiechem, ale śmiechem homerycznym:

— Cha! ha! ha! otóż i nasz kochany Felunio! krzyknęło kilka głosów po polsku.

— Witajże nowy przybyszu, broni naszej towarzyszu!

Felix i Józef stanęli jak wryci, niepojmując zrazu z kąd tylu na raz sąsiadów i znajomych zebrało się w domu węgierskiego drelicharza. Pierwszy pan Józef przyszedł do siebie z osłupienia i zawtórował powszechnej wesołości:

— Nie jestże to prawdziwem oszczerstwem cudzoziemców, którzy naszej szlachcie brak przemysłu zarzucają? zawołał ze śmiechem. Czy jest, pytam się, pod słońcem przemyślniejsza szlachta od galicyjskiej, która aż na Węgry za drelichami jeździ?

— Brawo! zawołał wesoły Zygmuntek ze Sandeckiego. Piję nowo przybyłych zdrowie!

— Wiwat! zawołali wszyscy.

Zaczęły się witania, wypytywania wzajemne, jakto zawsze bywa kiedy z różnych okolic niespodzianie pozjeżdżają się znajomi. A było ich tam ze wszystkich stron. Było dwóch ze Sandeckiego, z Bocheńskiego, Wadowickiego i Sanockiego po jednemu; z Tarnowskiego trzech kompletnie już zgranych paniczów (bo tam wywodzą się goli panicze i gracze); jeden prawdziwy nawet hrabia z Rzeszowskiego, i pseudo-hrabia z Przemyskiego (gdzie choroba hrabio-manii stała się endemiczną)

— Tu się przy śniadaniu nie źle dzieje, zagadł pan Józef, pozwólcie mi jednak, nim przystąpię do tych darów bożych, zapytać się: z kąd u licha tylu się was tu nabrało? Bo jak widzę, przynajmniej połowę Galicyi daleko lepiej reprezentujecie, niżeli na sejmie lwowskim.

— Tak, odpowie Zygmunt, nie źle się nam i tu dzieje u starego Węgra, wino ma kapitalne, sam za kołnierz nie wylewa, już nas przez trzy dni poi.

— Ale żywi szkaradnie — ozwał się Przemyślanin.

— Może głodem morzy?

— Gdzie tam, opycha nas, aż do niestrawności.

— Samą słoniną i papryką!

— A co gorzej, że panny niepokazuje!

— Jakto nie pokazuje? wszak kawalerowi trzeba przynajmniej pro forma oglądnąć owę od Boga mu przeznaczoną.

— Właśnie w tem sęk, że najmilsza na piecu cwancygiery wysiadująca Kasia, nikomu z nas nie jest przeznaczona.

— Wam! zagadł p. Felix z pewnym przyciskiem.

— O tem, potem — mówił Zygmunt dalej; teraz słuchajcie zkądeśmy się tu wszyscy wzięli. Sława bogatego drelicharza przejęła każde gorące serce kawalerskie żądzą niepohamowaną obejrzenia tego rzadkiego naszych czasów zjawiska: „pannę na *srebrnych* cwancygierach!“ — Byliśmy właśnie w Dąbrowie na jarmarku, i każdy z nas po zdybaniu się z pewuym ex-kapitanem, zdybaniu się na *zielonem* polu sławy, znajdywał się w stanie nie tylko niecwancygierowym ale ultra niepapierowem. A że to stan taki układa ludzi do najwyższych natężeń umysłowych, każdy z nas dyplomatycznie wymknął się z Dąbrowy, i pociągnął swoim szlakiem ku obiecanej ziemi węgierskiej. W przeciągu dni kilku pozjeżdzaliśmy się tu wszyscy, a każdy dziwował się drugiemu zkąd się tu wziął.

— I jeden po drugim dostaliśmy od kosza, przerwał niecierpliwy Sanoczanin. Ależ mu za to wypijemy całą piwnicę.

— Od kosza? nie koniecznie; wtrącił prawdziwy hrabia.

— Każdemu wolno mieć jeszcze nadzieję, przemówił jeden z tarnowskich paniczów.

— A bardzo pięknie odrzekł nam stary; mówiąc: «Moi panowie! ja stary ćwik, znam świat doskonale, a więc i was znam.“—

— Jeżeli tak jest w istocie, przerwał Szpakowski, to pewno nie da córki żadnemu z was.

— Ja mam córkę, mówił dalej stary, ale mam i cwancygiery, a więc rozumiem was dobrze... napijmy się i kochajmy się, ale z daleka.

— A przecież, odrzekł tarnowski panicz, ja nadziei nie tracę, że poczciwe Węgrzysko upodobał sobie któregoś z nas, bo dotąd nie chce nas puszczać, i wczoraj jeszcze zatrzymywał, gdyśmy chcieli wyjeżdzać.

— Kpi z nas stary i kwita. (C. d. n.)

OBRAZKI WIEJSKIE.

Dorobkowicze.

(Ciąg dalszy.)

Ledwieśmy wjechali na plac przedkościelny, jak dobiegały do nas głosy uwielbienia prostego ludu, dla powozu, dla liberii i strojów samych państwa M. A cóż to było, gdy ciężkie atłasowe suknie pań saszeleściały w skromnym przybytku Boga, gdy p. Mateusz szedł poważnie chrząkając i spluwając, z brzuszkiem wystającym, który, chcąc się całkowicie światu pokazać, spychał kusą kamizelkę za 15 złr. na pierś ozdobną grubym łańcuchem złotym od zegarka, gdy zasiedli pierwszą ławkę po prawej stronie, gdy oddali ukłony księstwu siedzęcemu za niemi!! i odebrawszy z rąk Marcinka, nieodstępnie trzymającego straż tylną, aksamitne ponsowe książki, to powiadam ci — i ludzie, i aniołowie, odpychać by ich mogli z tą prawdziwie sobkoską modlitwą! I ty ich odepchniesz od siebie, gdy dojdę do końca tego szkicu rzeczywistości arcy-smutnej.

Lokaj klęcząc za państwem także modlił się na książce, oprawnej w zielony safian, z wizerunkiem Pana Jezusa na okładce, lecz tylko mosiężnym — bo pp. M. bali się, sprawić szczerozłotego, aby bestja cham nie złakomił się i nie uciekł.

Ten dzień był ważny dla całego katolickiego kościoła, bo nowy wstępował do winnicy Pańskiej. Ks. G. miał mieć po summie 1szy raz Mszę Śtą. Dziś miał swemi ustami pierwszy raz wymówić cudowne słowa tajemniczej przemiany chleba i wina. O! rozrzewniający, budujący to obrzęd. Wszyscy byli wzruszeni, i pokorą najwyższą przejęci — patrzyli z uwielbieniem w twarz kapłana, gdy ten wznosił ręce i oczy do nieba, będącego przynajmniej teraz dla niego Świętym Przybytkiem Ducha świętego, od którego otrzymuje łaskę na spełnienie godne swego ciężkiego obowiązku. Łączyliśmy wszyscy modły nasze do Boga za kapłanem, aby Bóg go natchnął wiarą i silną wolą, aby nieporzestając tylko na ubiorze duchownego, miał w swem sercu czystość, którą wznosić się powinien nad nas biednych grzeszników. To też gdy kapłan pożegnał wszystkich, lud zebrany pospieszył tłumnie na stopnie ołtarza, odebrać błogosławieństwo z rąk niczem jeszcze nie skalanych.

Wtenczas spojrzałem na pp. M. — wzgardziłem niemi — poznałem, że wyparli się wiary nie wiedząc o tem, bo myśleli, że klepanie pacierzy, zakupywanie mszy i rożańców wystarczy dla Boga! Z początku zaczęli między sobą szeptać jakby się naradzając , czy iść przed wielki ołtarz, i schylać swe marne głowy przed kapłanem Boga, potem rzucali wzrokiem w około siebie, czekając początku ze strony księstwa. Na szczęście wiara ojców nie wygasła jeszcze w rodach wysokich, często dla tego się w nich utrzymuje, że należy po części do tradycyi rodu, że głęboka wiara i uszanowanie dla obrządków kościoła dopomaga do tej powagi, jaka nad domem starożytnym wisić powinna; tym razem jednak widziałem wiarę z całą swą powagą i świętością, zachowywaną dla najczystszych i nie ziemskich celów.

Księstwo idąc za ludem dążyli ku ołtarzowi, gdzie z pokorą przyklęknąwszy, ucałowali rękę człowieka, którego

dla wiary widzieli wyższym nad siebie. PP. M. widząc pokorę Księstwa czemprędzej ruszyli ku ołtarzowi, i szukając na stopniach swobodnego miejsca dla pańskich swych kolan, rozpychali niegrzeczny lud cisnący się w około — Nareszcie oboje małżonkowie odebrali błogosławieństwo kapłana, panna zaś Teodozja uklękła gdy rodzice wstali — obok niej ukląkł pokorny Marcinek. Aż oczy zmrużył i pięście ścisnął p. Mateusz, gdy zobaczył, że lokajskie suknie ocierają się tak blisko o atłasy jego córki, a gdy nieszczęście chciało, że kapłan najprzód położył ręce na głowie Marcinka, poniósł do ust jego swe palce, które Marcinek szczerze i głośno ucałował — a potem dopiero miał spełnić tę samą ceremonją nąd p. Teodozją — pani Mateuszowa szarpała córkę za suknią, a p. Mateusz szarpał złoty łańcuch mitygując się w złości. (D. n.)

Szkółki zabaw dla dzieci.

Opatrzność od kolebki do grobu wszystkiemi naszemi kierując krokami, wszechmądrze zarządziła, iż początkowe wychowanie dzieci tkliwych matek poruczyła staraniu. Usankcjowanie tego matczynego przywileju, stwierdza jawnie instynktowe dziecka do matki przywiązanie. Dziecię na samprzód poznaje matkę, ku niej najpierwej wyciąga rączki; *mama* jest pierwszym wyrazem mlekiem tkliwej wyżywicielki zwilżonych ustek jego. Matka też wierna pewołaniu, święcie wywiązuje się ze swego wzniosłego obowiązku, albowiem matka w ściślejszem znaczeniu tego wyrazu, anielską cierpliwością zrzeka się świata, spoczynku i siebie samej, a w tym jedynie szczyt swej sławy upatruje, gdy na obraz Madony z owocem żywota swego na ręku, macierzyńską swą okazuje godność.

Zdawałoby się za tem, że odłączenie dziecka od piersi już jest krańcem jednowładnej atrybucyi matki; bynajmniej, z doczekaniem trzeciej wiosny życia dziecka, dopiero zaczyna się długie pasmo twardych prób macierzyńskiej cierpliwości; wtedy bowiem dotychczasowa pieczołowitość elementarna klasyczną przybiera fizjonomią, i stawia matkę w konieczności roztropnego i stopniowego skierowania młodziutkiego umysłu do szlachetności i posłuszeństwa, czego przez pogodzenie pobłażania z niezbędną czasami surowością dokazawszy, przyszłość swego dziecka na potężnych i niezawodnych ugruntuje żywiołach.

Ale kobiety są słabe, a nadto nie od każdej a może rzadko tylko od jednej wypada tak pedantycznego choć zbawiennego znawstwa rzeczy wymagać. Kobieta jest swego serca niewolnicą, gdy przeciwnie mężczyzna może i powinien być swego serca panem; kobieta sama tylko kochać umie, bo kocha bezwarunkowo ślepo, i tym samym żarem, tym samym zachwytem serca kocha później swego bezprzykładnego amorka, któremi kiedyś kochała swego adonisa, a w takim to godle zakresów i pieszczot szukamy zarodu surowości? Czyliż w tem nie jest zbyt wygórowane nasze żądanie, czyż nie błachą będzie rachuba, od niej zadowalających względem wychowania wymagać rezultatów?

Od ojca jeszcze mniej wypada się spodziewać, bo ten za ciężką ma rękę do pielęgnowania swego pierwiosnka, nie dziw zatem że dziecko w samym domu rodzicielskim opuszczone, wyradza się nieraz w najnieznośniejszego matce, tyranczującego rodziców i domowych.

Niemcy badawczo dochodząc każdej rzeczy początku i następstwa, oraz uważając, że z tego małego z początku źródełka złego, później brzegi rwący potok utworzyć się może, zręcznie spostrzegli, że brak zastosowanego do młodziutkiego wieku zajęcia, szczególniej gdzie jedno tylko jest dziecko, oraz ciągłe przestawanie z matką, te efemerydalne dziwactwa dzieci wylęgają. Obmyśleli zatem zaradcze ku temu środki, które w praktyce najpożądańsze okazują rezultaty.

Urządzono szkółki zabaw, w porze zimowej w obszernych, miernie ogrzanych salonach, w lecie zaś na świeżem powietrzu w ogrodach. Dzieci obojej płci w osobnych podziałach, nie młodsze jak trzy lata i nie starsze nad sześć, uczęszczać mogą do tychże szkółek. Doświadczeni nauczyciele i nauczycielki przewodniczą zabawom, które są różnorodne, do intelligencyi i wieku dzieci zastósowane, przy których jednakże ruch głównie uwzględnionym bywa.

Krom korzyści pod względem hygienicznym wynikających ztąd dla dziateczek z oddychania świeżem powietrzem, czego dowodem są rumieńce wesołych twarzyczek, z któremi do domów wracają, nawykają oraz dzieci do pewnego rodzaju akuratności i posłuszeństwa dla przełożonych, co wielce uderzyło moją uwagę, kiedym przypatrywał się w takiej szkółce w Wrocławiu grze w żołnierzy jak ta armia liliputska rozkazy Guliwerka swego z największą wypełniała precyzją. Ale też i nauczyciele chociaż nie głębokiej pedagogiki indywidua, fachową odznaczają się starannością, urozmaicając rodzaje zabaw przez zręczne wynajdywanie coraz nowszych gier.

Z rana w zimie o wpół do dziewiątej, a w lecie o godzinę wcześniej, dziecię już musi być do szkółki gotowe, tak, że na dany znak trąbką, w zajeżdżający przed dom omnibus niebawem wsiadać musi. Nie bez tego, aby mateczka wyprawiając dziecinę, nie była pomną żołądkowych miniaturnego ucznia potrzeb; w zawieszonej na ramionkach torbeczce, jest tam cały zapas różnych różności, któremu w kwandransie rekracyjnym ledwie wydołać może, ale za to dziecina nieodważy się jeść, nim dzwónek w oznaczonym do śniadania lub podwieczorku czasie ją zawezwie. O dwunastej tenże sam okręgowy omnibus odstawia dziecię do domu. Wesołe, rumiane, zajada jak wilczek, bo świeże powietrze i ruch zaostrzają apetyt; przy stole używa całej swej wymowy dziecinnego narzecza na opowiadanie o przedpołudniowych zabawach i osobistem odznaczeniu się i naiwnem swem wysłowieniem sprawia rodzicom prawdziwą przyjemność.

Od drugiej do szóstej takie same podług tego dziennego programu, odbywają się ćwiczenia, a ta całodzienna gimnastyka praktyczna na świeżem powietrzu odbyta, sprawia spokojny sen dziecku które zamiast ciężaru, prawdziwą staje się zabawą rodziców i domowej czeladzi.

Przy zdarzonej okoliczności opowiadała mi jedna tkliwa matka ze łzami radości w oku o swym synku. Ten wciąż wątłego był zdrowia. Wszyscy Hipokratesi miejscowi doświadczali na nim swojej sztuki, karmiono go wyłącznie lekami, lecz wszystkie koszta i starania na nic się nie przydały i czekano tylko rychłego zgaśnienia tlejącej się w nim ledwie jeszcze iskierki życia. Nie mając nic do stracenia, odważono się nakoniec tę wpółumarłą istotę do podobnej zapisać szkółki; jakby czarodziejską dotknięty rószczką, zaczął od razu nabierać ciała i nakoniec krzepkie odzyskał zdrowie.

Zaiste jest to zbawienny ze wszechmiar wynalazek, a pod względem filantropijnym może większy jak wiele innych, które imie wynalazcy na kartach historyi dla późniejszych generacyi uwieczniły a czyliż podobne szkółki nie mogą i nie powinny być i u nas zaprowadzone?..

Sz. G.

Rozmaitość.

* Najdostojniejszy nasz Arcyksiąże Karol Ludwik, odjeżdza dziś do Bolechowa na spotkanie się z Najjaśniejszym Panem.

* Równie dziś rano o 9. godz. wyjechała deputacya obywateli miejskich z kilkanaście osób składająca się do Stryja.

* Towarzystwo sceny polskiej zakończyło wczoraj Krakowiakami kurs swój roczny, i udaje się dzisiaj do Czerniowiec na sześć tygodni.

* W niedzielę, w dzień Błogosławionego Jana z Dukli, wielka msza pod dyrekcyą p. Froidla w kościele OO. Bernadynów.

* Na wiadomość o zakładaniu domu pracy i zaopatrzenia we Lwowie, złożyła szlachta zgromadzona na pokojach Namiestnictwa podczas pobytu Najjaśniejszego Pana we Lwowie, kwotę 10,000 dla pokrycia kosztów budowli tego instytutu, mającego otrzymać imię Franciszka Józefa.

* Od 9. aż do 30. czerwca zachorowało we Lwowie na cholerę 481 osób zmarło 174.

* Na wszelką pochwałę zasługuje utworzony zaraz w pierwszej chwili zjawienia się cholery komitet izraelicki, który zajął się barzdo czynnie troskliwem urządzeniem izb ratunku, w których doraźną pomoc znalazło także wielu chrześcian.

Przyjechali od dnia 1. do 3 Lipca do Lwowa.

Eugeniusz Cetner hr. z Podkamienia. Szuszkiewicz Grzegorz z Staniswowa. Ożarowski Konstanty hr. z Stanisławowa. Wierzchowski Wicenty z Tarnopola. Karnicki Feliks hr. z Roguzna. Obertyński Leopold z Stronibab. Polanowski Aleksander z Moszkowa. Babecki Kajetan z Byszowa. Gnoiński Aleksander z Krasny. Bystrzanowski Leopold z Borek. Turczyński Marcel z Stupnisk. Mier Feliks hr. z Buska. Smarzewski Seweryn z Hankowic. Niezabitowski Napoleon z Nakła. Dobrzański Julian z Milatyna. Ustrzycki Walerjan z Hawłowic Majewski Józef z Maxymowic. Gottlieb Antoni z Leśniowa, Mier Henryk hr. z Buska. Wittgenstein Eugeniusz ks. z Krakowa.

Thullie Stanisław z Tarnopola. Osmulski Władysław z Kuliczkowa. Kleczkowski Franciszek z Skomoroch. Czerkawski Ludwik z Meryszczowa.

Wyjechali od dnia 1. do 3. Lipca ze Lwowa.

PP. Bąkowski Jan hr. do Rozdołu. Nahojowski Antoni do Czernicy. Skolimowski Julian do Dynisk. Starzyński Józef do Mogielnicy Stecki Ludwik do Sokołowa. Trzciński Józef do Żyrawy.

PP. Szczepański Józef do Krakowa. Stadnicki Jan hr. do Boratyna. Smarzewski Ksawery do Mysłowic. Skrzyński Władysław do Żurawna. Golejewski Adam do Gajów. Stokołowski Franciszek do Łan . Nikorowicz Walerian do Ulwarka. Łoś Franciszek hr. do Turynki. Gnoiński Aleksauder do Krasnego.

Kurs telegrafowany z Wiednia 3. b. m. o g. 2 popołud

Augsburg za 100 złr. .	$123\frac{1}{2}$	Pożyczka 5%	— —
Hamburg za 100 tal. banco	90	Akcye banku	987
Londyn za 1 funt szterl..	11 59	Kolej północna	2045
Medyolan za 300 lirów	$122\frac{1}{8}$	Obl. ind.	$69\frac{1}{8}$
Paryż za 300 franków .	$143\frac{3}{4}$	Nowa pożyczka z loteryą	$101\frac{1}{8}$
Agio duk. ces. . . .	$27\frac{3}{4}$	Pożyczka narodowa . .	$83\frac{3}{8}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

	Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	43	złr.	5	kr	45
Dukat cesarski	«	5	»	45	»	5	»	48
Półimperyał zł. rosyjski	«	9	«	48	»	9	»	54
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	55	«	1	»	56
Talar pruski	»	1	«	48	»	1	«	49
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	23	»	1	»	24
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	93	«	30	»	94	»	—
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		69	»	30	»	70	«	—
5 proc. pożyczka narodowa		83	»	25	»	84	»	20

Lwów, 4. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 34 złr. 30 kr. do 39 złr. — kr. — Żyta po 22 złr. — kr. do 24 złr. — kr. Jeczmienia po 20 złr. — kr. do 20 złr. 10 kr. Owsa po 11 złr. — kr. do 12 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 18 złr. 30 kr. do 20 złr. — kr. — Ziemniaków po — złr. — do — złr. — kr. Sag drzewa bukowego 40 złr. — kr. do — złr — kr. Sosnowego po 38 złr. 45 kr. do — złr. w.w. Cetnar siana 3 złr. 45 kr. do 4 złr. 30 kr. Centnar słomy 2 zł. 32 kr. do 3 złr. — kr. w. w. Garniec 30 topniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. 17 kr. w. w.

Z Czerniowiec, nadesłane 24. Czerwca 1855.

Ulubiona artystka i pierwsza spiewaczka teatru Warszawskiego pani Ludwika Rywacka dała w tem mieście dwa koncerta 30go maja i 8go czerwca. Spiew tej znakomitej artystki zachwycił wszystkich słuchaczy. Dla tego też po każdem spiewie była kilkakrotnie przywołaną, a w końcu drugiego koncertu, obsypaną była bukietami i kwiatami od znakomitych dam miasta Czerniowiec.

Józef Rowiński,

(130 1—3) Nauczyciel muzyki w Czerniowcach.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**